

Rozmowa Stanisław Gomułka – Roman Mańka, zastępca RN *Gazety Finansowej*, 16 grudzień 2010

Potrzeba reform jest permanentna!

Stanisław Gomułka – prof. ekonomii, czołowy polski ekonomista. W latach 1970-2005 pracował na wydziale ekonomicznym London School of Economics, wykładał i prowadził badania w wielu renomowanych instytucjach ekonomicznych, w tym m.in. na uniwersytetach Kolumbii, Harvarda, Pensylwanii oraz Stanfordzkim w USA. W latach osiemdziesiątych był konsultantem MFW, OECD i KE. Doradca rządu premiera Mazowieckiego i jeden z architektów projektu reform Balcerowicza. Obecnie główny ekonomista BCC.

Nakładem Wydawnictwa Naukowego Scholar ukazał się w tym roku I-szy tom monografii o reformach ostatniego 30-lecia pt *Stanisław Gomułka i transformacja polska 1969-1989, dokumenty i analizy*. Na początku r 2011 ma się ukazać t II poświęcony reformom i polityce gospodarczej w r 1990.

Jest Pan obserwatorem życia ekonomicznego, gospodarczego; jest Pan również obserwatorem życia politycznego – proszę powiedzieć, który rząd po w 89 roku można uznać za najbardziej proreformatorski?

Ja bym uznał dwie takie ekipy. Pierwsza to był rząd Mazowieckiego, a więc chodzi o okres od września 89 do praktycznie końca 90 roku, a drugi rząd taki mocno reformatorski to był rząd Suchockiej od mniej więcej połowy roku 92 do jesieni 93. Nieżył był też rząd Bieleckiego w roku 91, ale to był rok niezwykle trudny – najtrudniejszy w całym 20-stoleciu transformacji. Doszło wówczas do rozpadu tak zwanego RWPG, a więc mieliśmy do czynienia z kolejną falą dużych problemów w przedsiębiorstwach. Gdzieś około dwieście, trzysta dużych polskich przedsiębiorstw było silnie uzależnione od eksportu na rynki RWPG i trudno im było się dostosować do nowej sytuacji. Mieliśmy też dolaryzację handlu z całym tym obszarem RWPG, a w szczególności z Rosją, ze Związkiem Radzieckim jeszcze wtedy. Tak więc było nasilenie inflacji i recesja w przemyśle, a poza tym mieliśmy ogromne problemy z finansami publicznymi, silny wzrost bezrobocia, pogorszenie sytuacji w handlu zagranicznym. W rezultacie cały nasz wysiłek reformatorski został poddany bardzo poważnej próbie. Potrzebna była determinacja, żeby wytrwać, żeby nie dopuścić do powrotu dużej inflacji poprzez finansowanie dużego deficytu dodrukiem pieniądza. Trzeba było szukać cięć w wydatkach, itd.. A więc to był bardzo trudny okres i rząd Bieleckiego zdał egzamin, w tym sensie, że wytrzymał tę presję.

Natomiast rządy Mazowieckiego i Suchockiej wyszły z inicjatywami bardzo poważnymi, rewolucyjnymi wręcz w przypadku rządu Mazowieckiego i znaczącymi w przypadku rządu Suchockiej. Myślało się wtedy właśnie w kategoriach interesu długofalowego Polski. To było istotne, że zarówno w przypadku rządu Mazowieckiego, jak i Suchockiej prowadzono politykę na dłuższy horyzont. W ogóle doktryna, którą w tej chwili sformułował premier Tusk, że dla niego i jego rządu ważny jest przede wszystkim interes Polaków tu i teraz byłaby dla tamtych rządów nie do przyjęcia, bo myśleliśmy i musieliśmy myśleć w kategoriach długofalowego interesu Polski. Nawet jeżeli podejmowane działania oznaczały koszt polityczny dla tamtych rządów, to ten koszt był sprawą drugorzędną.

Wejść w słowo – to jest doktryna populistyczna...?

Oczywiście – doktryna populistyczna! I ten populizm już zauważyliśmy w przypadku pierwszych rządów SLD-PSL w latach dziewięćdziesiątych, chociaż i tam było pewne zróżnicowanie: w przypadku premiera Cimoszewicza było mniej tego populizmu; w przypadku rządu Pawlaka więcej, ale jeszcze nie było tak źle. Duży wzrost, tu i ówdzie niemal eksplozja populizmu miała miejsce trochę później – szczególnie w ostatnich latach z chwilą pojawienia się w parlamencie takich partii, jak „Samoobrona”, do pewnego stopnia także Liga Polskich Rodzin. Te dwa ugrupowania zaczęły wywierać bardzo negatywny wpływ na inne siły polityczne, w szczególności na SLD. Również pojawienie się formacji AWS stworzyło problem, bo tam był silny nurt rewindykacyjny, roszczeniowy z uwagi na okoliczność, że wśród przywódców tej formacji było dużo działaczy związkowych. Oczywiście niektórzy z tych działaczy myśleli w kategoriach ogólnopaństwowych, może nawet Pan Krzaklewski do nich należał, jednak było też sporo populistów, zwłaszcza w Sejmie. I premier Buzek miał duże problemy z forsowaniem swoich projektów ustaw. Chociaż sam należał do grupy polityków myślących długofalowo i propaństwowo, to był mocno ograniczony w swoich możliwościach. Te uwarunkowania dały o sobie później znać poprzez rozpad koalicji AWS-UW,. Mimo wszystko premierowi Jerzemu Buzkowi pewne reformy udało się przeprowadzić, np. reformę administracyjną, reformę emerytalną czy restrukturyzującą górnictwa można uważać za znaczące sukcesy.

Niedawno obchodziliśmy kolejną rocznicę stanu wojennego. Czy gdyby wówczas w 1981 roku komunistycznym przywódcą Polski nie zabrakło wyobraźni i gdybyśmy już w tamtym momencie rozpoczęli w kraju gospodarcze reformy, to dzisiaj byłibyśmy bliżej państw zachodniej Europy?

Nasz poziom PKB w tej chwili, to jakieś 45 najwyżej 50 proc. tego co mają tak zwane kraje starej Unii Europejskiej i gdzieś na poziomie około 40 proc. Niemiec, Francji i kilku innych bardzo zaawansowanych krajów Europy Zachodniej. Jeżeli chodzi o nagromadzony kapitał, zarówno produkcyjny, jak i nieprodukcyjny, to dystans Polski do krajów zachodnich jest większy, nasz poziom to około 1/3 tego, co jest tam. W pewnych obszarach ten dystans jest jeszcze większy, na przykład w infrastrukturze, czy w sektorze badań naukowych. My w ciągu tych ostatnich dwudziestu lat pokonujemy ten dystans mniej więcej w tempie około jeden do dwa punkty procentowe dystansu rocznie. A więc, jeżeli Pan mnie pyta, jaki byłby efekt rozpoczęcia transformacji dziesięć lat wcześniej, to bym powiedział, że byłibyśmy mniej więcej tam, gdzie będziemy w roku 2020. W stosunku do Niemiec na przykład, to byłibyśmy gdzieś na poziomie 50, może nawet 55 proc. W stosunku do całej starej Unii, na poziomie około 60 %.

To trochę wolno...?

Przy tempie wzrostu PKB około 4-4,5 proc rocznie nie możemy oczekiwać dużo większego tempa usuwania tej luki. Aby tę lukę usuwać znacząco szybciej, to musielibyśmy mieć tempo południowokoreańskie, japońskie, czy wręcz chińskie. Gdybyśmy mieli wzrost nie 4,5 ale np 6 lub 7 proc, to moglibyśmy usunąć dystans cywilizacyjny w ciągu około trzydziestu lat. Natomiast przy tym tempie, jakie mamy teraz – zakładając, że ono dalej będzie utrzymane przez najbliższe jakieś dwadzieścia, trzydzieści lat – to nam potrzeba dużo dłuższego okresu. I nie ma nawet pewności, czy usuniemy ten dystans kompletnie. Dlatego, że w miarę, jak poziom PKB na głowę, czy generalnie rozwoju gospodarczego się podnosi, jak dystans się zmniejsza, to będą się też zmniejszać możliwości utrzymania wysokiego

tempa nadrabiania dystansu, utrzymania prędkości doganiania. W miarę, jak będziemy zbliżać się do czołówki, to nasza szybkość będzie się zmniejszać. Możliwe jest, że będziemy mieli permanentnie jakiś dystans do np Niemiec czy Francji. Mamy przykład Niemiec wschodnich, gdzie to zatrzymanie już się właściwie dokonało na poziomie około 2/3 Niemiec zachodnich. Mamy przykład północnej Anglii, czy południowych Włoch, gdzie też występuje coś w rodzaju permanentnego stanu niższego poziomu rozwoju gospodarczego. Pewne zróżnicowanie poziomu w ramach konkretnego kraju jest czymś zwyczajnym. Mamy na przykład Londyn, gdzie poziom PKB na głowę jest około dwa razy wyższy niż średnio w Wielkiej Brytanii. I jest to sytuacja w zasadzie permanentna. Tak samo w Polsce – mamy tak zwaną „Polskę B” i „Polskę A”. I to zróżnicowanie jest trudne do usunięcia.

Co zatem należy zrobić, aby dynamika zwalniania naszej gospodarki była jak najmniejsza?

Chodzi o to, aby ta dynamika nie zwalniała lub zwalniała stosunkowo niewiele w najbliższych np 20-tu latach, i aby to nieuniknione zwalnianie później posiadało taki charakter, by umożliwiała pełne usunięcia luki technologicznej i cywilizacyjnej. To by oznaczało utrzymanie dość wysokiego tempa wzrostu przez najbliższe jakieś czterdzieści lat, szczególnie wysokiego przez najbliższe około dwadzieścia lat. A więc to jest dość duże wyzwanie. W tej chwili trzeba się zastanawiać, co powinniśmy zrobić w ciągu najbliższych pięciu- dziesięciu lat. Właśnie po to, aby mieć tempo przynajmniej 4,5 proc., chociaż też można by było myśleć o jakimś podwyższeniu tego tempa do poziomu 5, czy 5,5 proc.

Kluczową zmienną, kluczowym parametrem jest udział inwestycji w dochodzie narodowym. Ten udział w Polsce, w ostatnich dwudziestu latach wynosił średnio około 20 proc. W przypadku każdego kraju doganiającego bardzo dużo zależy od tego udziału, bo wielkość strumienia innowacji, które gospodarka absorbuje zależy od wielkości strumienia inwestycji. Wydaje mi się jednak mało prawdopodobne, abyśmy mogli ten strumień znacząco zwiększyć. Raczej chodziłoby o reformy, które zmierzałyby do podtrzymania dotychczasowego tempa wzrostu. Chodzi przede wszystkim o dwie rzeczy. Pierwsza to są reformy emerytalne, które by zwiększyły zainteresowanie pracą i wydłużyły czas pracy, czyli zwiększyły stopień aktywizacji siły roboczej w dużych aglomeracjach. A drugi czynnik to większa aktywizacja siły roboczej „zamrożonej” w obszarach wiejskich oraz małomiasteczkowych, a więc w tych obszarach gdzie stopa bezrobocia jest wysoka, albo gdzie stopień wykorzystania siły roboczej jest niski.

Lata 2006-2008 były okresem kulminacji koniunktury gospodarczej w Polsce. Dwa kolejne rządy posiadały w sensie ekonomicznym komfortowe warunki do rządzenia. A jednak nie podjęto najbardziej pilnych reform. Czy reformy można ignorować?

W każdym kraju zmienia się otoczenie zewnętrzne, zmieniają się warunki działalności przedsiębiorstw, także potrzeby społeczeństwa. I w związku z tym konieczność reform jest permanentna. Jeżeli się nie dokonuje reform przez pewien czas, to wówczas powstaje coś w rodzaju napięć i potrzeby bardziej radykalnych reform trochę później. A więc tak, jak mamy zmienną koniunkturę, od czasu do czasu osłabienia gospodarcze, wręcz kryzysy, także ożywienia gospodarcze i bumy, to podobnie w dziedzinie reform mamy okresy niewielkich czy wręcz braku reform, a potem okresy silniejszych działań. Ale potrzeba reformowania jest właściwie, jak mówię, permanentna.

Kto ma rację, bo z jednej strony część polityków, między innymi Jarosław Kaczyński mówi o potrzebie implementowania koncepcji zrównoważonego rozwoju i inwestowania w tereny biedne, gorzej rozwinięte, a z drugiej ekonomiści sugerują, że Platforma Obywatelska, premier Donald Tusk, obecny rząd próbuje implementować model polaryzacyjno-dyfuzyjny. Która koncepcja w polskich warunkach, w obecnej sytuacji byłaby rozwiązaniem bardziej optymalnym?

Oczywiście wszystkim nam zależy, aby rozwój był w miarę zrównoważony, aby obejmował wszystkie części kraju. Ale przecież zatrudniać ludzi będzie sektor prywatny, a nie rząd, czy przedsiębiorstwa państwowe. Więc jaka byłaby rola instytucji państwowych w kreowaniu takiego rozwoju równomiernego? Ona mogłaby zaistnieć jedynie w obszarze szkolnictwa oraz w sferze infrastruktury. I to trzeba robić. To być może jest także warunkiem powodzenia tej drugiej strategii, czyli dyfuzyjnej. Należy promować rozwój gospodarczy na tych biedniejszych terenach, ale z drugiej strony trzeba sobie zdawać sprawę, że największe szanse zatrudnienia są na obszarach, które się szybko rozwijają. Wydaje mi się, że strategia rozwoju dyfuzyjnego jest nie tyle programem działania rządu ile opisem faktycznego rozwoju. Tak to zwykle jest na świecie. Południowa Anglia przyciąga ludzi z północy; młodzież z południowych Włoch wędruje na północ od Rzymu; ludzie ze wschodnich Niemczech do zachodnich landów.

Nie tylko ze wschodnich Niemiec, bo i z Polski...?

Oczywiście. Chociaż tu i ówdzie mamy też coś w rodzaju wykorzystywania zasobów siły roboczej i niższych płac przez kapitał. Przedsiębiorcy również próbują minimalizować koszty i czasem lokują swoje inwestycje w tych obszarach trochę mniej rozwiniętych. Oczywiście będą lokowali je w większym stopniu, jeżeli powstanie odpowiednia infrastruktura i odpowiedni kapitał ludzki. A więc jakieś działania tego typu promujące te obszary poprzez inwestycje są potrzebne. Tyle tylko, że doświadczenie uczy, iż ten kanał rozwoju gospodarczego pełni w praktyce funkcję pomocniczą.

Czy polskie sukcesy gospodarcze, którymi się różne rządy – abstrahuję tutaj od konkretnych opcji politycznych – chwaliły nie są trochę wirtualne? Mamy relatywnie szybki wzrost gospodarczy, ale brakuje podbudowy infrastrukturalnej, występuje niski poziom innowacyjności, ciągle zbyt mało inwestycji w kapitał ludzki. Czy te kategorie, te czynniki mogą spowodować, że ten wzrost gospodarczy się kiedyś załamie?

Aby podtrzymać wzrost gospodarczy powinny być podejmowane działania w szeregu obszarach. O dwóch już mówiłem: o kontynuacji reform emerytalnych i o większej aktywizacji zasobów siły roboczej w obszarach wiejskich oraz małomiasteczkowych. Ale oprócz tego mamy jeszcze parę innych barier szybkiego wzrostu. Pan wymienił jedną, mianowicie infrastrukturę. W tej dziedzinie coś zaczęło się robić, szczególnie w ostatnich kilku latach, między innymi dzięki pomocy z Unii Europejskiej. Zapóźnienia są ogromne i ja zakładam, że ten cały program rozbudowy infrastruktury będzie kontynuowany. Były robione szacunki – ile to będzie kosztować, jak ukształtuje się dopływ środków. W tej chwili wygląda to dużo lepiej niż jeszcze pięć lat temu. Jednak jest jeszcze jeden obszar mocno niedoinwestowany. To jest sektor energetyki.

Właśnie niedawno byłem w Wielkiej Brytanii. Tam zauważono, że nowe cele państw Unii Europejskiej dotyczące czystej energetyki będą bardzo kosztowne. Brytyjczycy muszą wymienić elektrownie na generatory innego typu, które nie emitują dużej ilości CO₂. Muszą też wymienić na nowe obecne elektrownie jądrowe i ten program w Wielkiej Brytanii ma

kosztować przez następne kilkanaście lat ponad sto miliardów funtów. Te opracowania rządowe są niesamowicie solidnie zrobione. Te wszystkie ograniczenia, mankamenty pokazane, możliwości technologiczne wskazane.

Natomiast ja teraz, jak się przyglądam dokumentom produkowanym przez Ministerstwo Gospodarki, to jestem zdumiony ich niską jakością. Nie ma właściwie żadnej strategii sprostania wymaganiom w dziedzinie energetyki. Tym bardziej jest ona potrzebna, że jak dotąd mamy w dużym stopniu system energetyczny oparty na węglu, który emituje dużo CO₂. I tutaj są potrzebne duże inwestycje. Bez szybkiej prywatyzacji tego sektora trudno będzie przyciągnąć kapitał prywatny. Sami nie dysponujemy dostatecznie dużymi środkami budżetowymi. Potrzebne są silne i szybkie działania. Po pierwsze dokończenie prywatyzacji, a po drugie zmiany w prawie, które umożliwią zainteresowanie dużego kapitału zagranicznego, czy polskiego (powiedzmy na przykład Kulczyka, czy innych), żeby budować nową generację elektrowni. Rząd chce utrzymać kontrolę nad liniami przesyłowymi. Te linie są przestarzałe, są potrzebne duże inwestycje i to szybko. Tam są duże straty z racji niskiej jakości infrastruktury przesyłowej, a niewiele się w tym zakresie robi, aby tę sytuację poprawić.

Jest więc jakaś straszna niedołężność w tej dziedzinie. Wydawało się, że minister gospodarki, na marginesie – inżynier z wykształcenia przynajmniej na tym się powinien znać i coś sensownego zaproponować. A on się bardziej interesuje innymi sprawami, na których się nie zna, jak np reformy emerytalne, a tę sprawę Ministerstwo Gospodarki ewidentnie zaniedbuje. Jeżeli w tej dziedzinie nie zrobimy wyraźnego postępu w najbliższych latach, to energetyka może się stać poważnym hamulcem gospodarczym już za kilka lat. Nawet gdy będziemy mieć te drogi, autostrady; nawet gdy sektor prywatny zechce inwestować w przemyśle przetwórczym i usługach, to przy drastycznym wzroście cen energii pojawi się poważny problem. Już w tej chwili koszty energii są wysokie, możemy być mniej konkurencyjni w naszym eksporcie i może to zablokować dopływ kapitału zagranicznego. W tej chwili obszar energetyczny jawi się jako bardzo poważne niebezpieczeństwo dla kontynuowania szybkiego wzrostu gospodarczego.

Ostatnio pojawiły się poważne problemy, które mogą zagrozić polskiej gospodarce i jej rozwojowi. Chodzi mi konkretnie o dług publiczny. Skąd wzięło się takie „rozhuśtanie” finansów publicznych i czy ten problem w najbliższym czasie może się dramatycznie odbić na polskiej gospodarce?

Jest sporo dokumentów na ten temat wydanych przez „Business Centre Club”, których jestem autorem albo współautorem. Było też dużo moich wypowiedzi na ten temat w środkach masowego przekazu. Ja nie tylko ostrzegam, ale też wyjaśniam, gdyż ludzie pytają o przyczyny tak dużego deficytu, a w tym roku jest to około 8 proc. PKB, czyli 112 miliardów złotych. W przyszłym roku ten deficyt będzie może trochę mniejszy, ale ciągle duży. Według definicji Unii Europejskiej przekroczymy próg 55 proc. PKB już w tym roku, a według definicji polskiej to będzie trochę ponad 53 proc. W każdym bądź razie relacja długu publicznego do PKB rośnie dość szybko. Także rośnie koszt obsługi długu publicznego, który w przyszłym roku ma wynieść blisko 40 miliardów złotych. I pojawia się ryzyko, że ten koszt obsługi może znacząco wzrosnąć w najbliższych latach. Gdyby tak się stało, to może to prowadzić do bardzo trudnych wyborów, wręcz do kryzysu finansów publicznych. To stanowi w tej chwili najpoważniejsze zagrożenie dla stabilności rozwoju gospodarczego kraju w okresie kilku najbliższych lat.

Ale rząd ten problem nieco bagatelizuje?

Rząd bagatelizuje chyba ten problem tylko oficjalnie. Ta sprawa bardzo dużego deficytu pojawiła się ostatnio. Jeszcze w roku 2007 deficyt sektora finansów publicznych był poniżej 3 proc. PKB. A więc mamy eksplozję tego deficytu w ostatnich trzech latach. Ja mam wrażenie, że pojawienie się tak dużego deficytu jest niespodzianką dla obecnych liderów koalicji rządowej, w szczególności dla premiera Tuska. Wynikać to może po części stąd, że samemu można paść ofiarą własnej propagandy. Ministrowie Rostowski i Boni stosowali technikę uspokajania opinii publicznej, minimalizowania zagrożeń w swoich wypowiedziach publicznych, wyolbrzymiania pozytywnych działań lub planowanych działań rządu. Jednym słowem zabiegali przede wszystkim o optymistyczny przekaz, co ich zmuszało do pudrowania sytuacji, retuszowania obrazu.

To dobra strategia?

To jest strategia na krótką metę. Ona się stosunkowo szybko dezaktualizuje. Zaufanie do niej spada, bo za chwilę okazuje się, że wyniki są gorsze niż minister finansów czy rząd zakładali. Z taką sytuacją mamy do czynienia w ostatnich dwóch, trzech latach, kiedy wyniki są systematycznie gorsze od zakładanych.

Być może w dłuższym horyzoncie tracimy wiarygodność?

Oczywiście, że tak! Ale utrata tej wiarygodności jest rozłożona w czasie. W przypadku Węgier mieliśmy około pięć lat dużych deficytów. I dopiero po upływie tego czasu rynki finansowe zażądały dużo wyższych stop procentowania od długu. I to doprowadziło do otwartego kryzysu finansów w tym kraju oraz do głębokiej recesji.

Czy nam taki otwarty kryzys finansów grozi?

W Polsce może być podobnie. W przypadku Węgier to były lata 2002- 2006, z kryzysem w roku 2007. A więc jeszcze przed światowym kryzysem mieliśmy uderzenie w gospodarkę węgierską. Jeżeli chodzi o Polskę, to przyszły rok będzie trzecim takiego dużego deficytu. Jest pytanie, co Polska robi w latach 2011, 2012, 2013. To są dla finansów publicznych trzy kluczowe lata. Mamy jeszcze możliwość uniknięcia kryzysu typu węgierskiego.

W roku 2011 to chyba trudno liczyć na to, że coś zrobi, bo odbędą się wybory parlamentarne?

Właśnie. Wybory parlamentarne są w roku 2011. A więc jest pytanie, czy rząd zrobi coś istotnego, na miarę problemu, zaraz po wyborach.

A co konkretnie powinien zrobić?

Te działania, które proponuje minister Rostowski są nie na skalę wyzwania. Nawet podwyższenie podatku VAT o pięć miliardów, w sytuacji kiedy mamy deficyt ponad sto miliardów, jest małym kroczkiem. Potrzebny jest dużo silniejszy program działań. Ja mówię już od wiosny tego roku, że to musi być program na jakieś pięćdziesiąt- sześćdziesiąt miliardów złotych rocznie. To jest to minimum, które jest tutaj niezbędne. Realizację takiego pakietu można rozłożyć w czasie, nie musi być wprowadzone wszystko w jednym roku. Ale w każdym razie nie może być tak, że pięć, czy nawet dziesięć miliardów załatwi sprawę. Rząd na razie poszukuje innych metod radzenia sobie z tym problemem. Jedną z nich jest

najwyraźniej krok wstecz z reformą emerytalną, w gruncie rzeczy przez likwidację OFE, bo renacjonalizację tej instytucji, co ma spowodować, że nie będzie transferów do OFE dwudziestu kilku miliardów. To nie rozwiązuje sprawy, ale na pewno ułatwi załatwienie bieżących problemów. Tyle tylko, że odbędzie się to kosztem przyszłych emerytów.

Ogólnie problem finansów publicznych można rozwiązywać na trzy sposoby. Dwa dotyczą pewnych ruchów o charakterze redystrybucji na krótką metę, podatków albo wydatków. Albo podnosimy podatki – czego nie chcielibyśmy – albo tniemy wydatki. W przypadku cięć wydatków prawdopodobnie będą jakieś koszty społeczne, polityczne. A trzeci sposób sprowadza się do redystrybucji międzyokresowej, w tym przypadku przez uderzenia w dochody przyszłych generacji na rzecz generacji dzisiejszej. Likwidacja OFE to jest w gruncie rzeczy pożyczanie pieniędzy od przyszłych emerytów, z tym że zamiast rynkowych papierów wartościowych dawalibyśmy im emerytalne papiery wartościowe, które mają zupełnie inną, dużo mniejszą wiarygodność. Różnica między rynkowymi papierami skarbowymi a emerytalnymi obligacjami jest mniej więcej taka jak kiedyś między dolarami a bonami dolarowymi.

Czyli inaczej mówiąc rząd zapożycza się u osób obecnie aktywnych zawodowo, czerpiąc środki z ich przyszłych emerytur?

Likwidacja de facto OFE i wprowadzenie emerytalnych papierów wartościowych zamiast rynkowych, to jest częściowy powrót to epoki socjalizmu, to ma trochę taki sens. Koszt dla przyszłych emerytów przy tego typu rozwiązaniach polega przede wszystkim na tym, że nie mogą się czuć bezpiecznie, że w przyszłości – jeżeli będą problemy – po prostu rząd ogłosi, że otrzymają nie tyle ile jest napisane na obligacjach emerytalnych tylko na przykład połowę tego. Czyli będzie dokonane coś w rodzaju wymiany pieniędzy, podobnie jak na początku lat pięćdziesiątych wymieniano się w relacji trzy do jednego. Tak samo i tutaj, jeżeli będą duże problemy, Państwo będzie przede wszystkim zabiegać o utrzymanie obsługi długu rynkowego. Obligacje rynkowe – te takie normalne papiery wartościowe – są w posiadaniu międzynarodowych inwestorów i wiarygodność kraju zależy od pełnej obsługi tych obligacji. Cały wysiłek rządów (tego i przyszłych) będzie skoncentrowany na tym, żeby te papiery obsługiwać. A papiery nierynkowe posiadają zupełnie inną wiarygodność i nie musimy ich obsługiwać. I jeżeli nie będziemy obsługiwać tych nierynkowych papierów, to wiarygodność Polski wzrośnie, gdyż oznacza to zwiększenie możliwości obsługiwania tych normalnych papierów. Czyli potencjalnie jest to uderzenie w przyszłych emerytów.

Mówiąc inaczej za politykę obecnego rządu mogą zapłacić przyszłe rządy?

Oczywiście, to też.. Jak mamy duży deficyt i chcemy go zmniejszyć, to ktoś musi tę dziurę wypełnić. Więc może to zrobić albo obecne pokolenie pracujących, w postaci zwiększonych podatków, albo obecne pokolenie beneficjentów (jeżeli będziemy cięć wydatki), albo przyszłe pokolenie emerytów i przyszłe rządy. Innych możliwości nie ma.

W takim razie narzuca się pytanie: jak Pan jako prof. ekonomii, jako wybitny, ceniony w świecie ekonomista ocenia politykę ministra finansów Jacka Rostowskiego?

Na to pytanie nie mogę niestety udzielić odpowiedzi. Ale chciałbym zauważyć, że w obecnym rządzie główną odpowiedzialność za finanse publiczne biorą na siebie przywódcy koalicji.

W 2008 roku niespodziewanie dla wszystkich nadciągnął kryzys gospodarczy, wybuchła recesja. Polski rząd twierdził przez długi czas – zresztą utrzymuje ten pogląd również do dziś – że Polska przed kryzysem się uchroniła. Jak Pan ocenia zachowania rządu i jego politykę wobec kryzysu, a także reakcję na kryzys?

Ja mam wrażenie, że premier Tusk był autentycznie zdziwiony na tej słynnej konferencji na giełdzie papierów wartościowych, gdzie mu pokazano Polskę jako taką „zieloną wyspę”. Właściwie nie bardzo wiedział, jak wyjaśnić fakt nie wystąpienia w Polsce recesji. Minister Rostowski, który też tam z nim był sugerował, że to być może dlatego, że mamy bardzo dobrych przedsiębiorców, że w przeszłości przeprowadziliśmy dobre reformy. Obaj politycy nie byli tak całkiem pewni, czy przypisywać ten sukces sobie, gdyż nie było takich oczywistych przesłanek, nie istniały konkretne inicjatywy rządowe, nie wdrożono w życie jakiejś specjalnej polityki antykryzysowej. Jedyne poważniejsze działanie rządowe polegało na odrzuceniu żądań ze strony opozycji, żeby zwiększyć wydatki publiczne. Ale tego typu polityka nie mogła być powodem sukcesu. A więc ta sprawa zawisła, jako coś w rodzaju zagadki do wyjaśnienia.

Tymczasem dla ekonomistów to nie jest trudna zagadka. Po pierwsze jest kwestia zagadnienia, co to oznacza sukces, a potem czyj to jest sukces? Tu pojawia się problem liczenia, jakie są naprawdę skutki tego kryzysu światowego. Należy je oceniać przez pryzmat wytrącenia jakiegoś kraju, czy gospodarki od pewnej „ścieżki” wzrostu, naturalnej „ścieżki” wzrostu. Jesteśmy wytrącani, co oznacza, że na przykład Europa Zachodnia zamiast poruszać się po „ścieżce” z tempem wzrostu 2 proc., w jakimś momencie odchodzi od tej ścieżki w dół. Podobnie jest w Stanach Zjednoczonych i Japonii. I to odejście w dół od tempa 2 proc. wzrostu tam właśnie miało miejsce w roku 2009, w skali gdzieś około 5 punktów procentowych PKB. Takie były bezpośrednie efekty kryzysu w tych krajach.

Natomiast w Polsce mieliśmy odejście nie od „ścieżki” 2 proc. tylko około 5 proc. A więc odejście od poziomu 5 proc. nie wpycha nas tak szybko w obszar poniżej zera. Jednym słowem od razu w tej całej dyskusji na temat „zielonej wyspy” jest błąd, polegający na tym, że Tusk i Rostowski w tych wszystkich porównaniach brali pod uwagę odejście od zera – czy ktoś znajduje się poniżej zera, czy powyżej zera. Podczas, gdy podstawą do porównań powinno być odejście od swojej naturalnej „ścieżki” wzrostu. Należy zestawić dwie liczby: jakiego tempa oczekujemy w danym kraju i jakie realnie mamy. W przypadku Polski liczyliśmy na 5 proc., a było w ub. roku niecałe 2.

Czyli Pan mówi wprost, że kryzys nas dotknął?

Oczywiście, że dotknął! W przemyśle mieliśmy przez kilka kwartałów nawet spadki poziomu produkcji. Tym niemniej były to spadki mniejsze niż w Europie Zachodniej i zdecydowanie mniejsze niż na przykład w Rosji. Ale w przypadku Rosji mieliśmy drugi bardzo istotny czynnik, w postaci silnego zmniejszenia cen surowców energetycznych. Polaka na tym skorzystała, a Rosja mocno straciła. W związku z tym straciły również niektóre kraje ościennie, jak Ukraina. Z kolei w przypadku republik bałtyckich oraz paru innych krajów mieliśmy inne czynniki, które spowodowały, że tam kryzys tak czy inaczej miałby miejsce.

Dlatego, że w krajach tych występowała niezwykle wysoka dynamika wzrostu przez kilka poprzednich lat. Ogromna ekspansja sektora bankowego i zapożyczanie się sektora prywatnego spowodowała, że mieliśmy do czynienia ze swoistą „bańką spekulacyjną” To samo było na Węgrzech, gdzie doszło do kryzysu tuż przed kryzysem światowym z uwagi na fatalną politykę fiskalną tego kraju. W przypadku Bułgarii i Rumuni mieliśmy podobną wielką ekspansję monetarną przez kilka lat przed kryzysem. We wszystkich tych krajach zatem wystąpiłyby załamania gospodarcze niezależnie od tego, co by się działo w Europie Zachodniej, czy Stanach Zjednoczonych. Tak więc mamy te dwie grupy krajów w tej części

świata, które odnotowały dużo większe spadki PKB niż Polska z innych powodów. W przypadku Rosji to są zmiany cen światowych na surowce, a w przypadku tych innych krajów, to jest ta ekspansja monetarno-fiskalna przed kryzysem, dokonywana przez szereg lat.

W kontekście Polski występują jeszcze dwa inne czynniki, które zadziałały na naszą korzyść. Jeden to jest niedorozwój sektora finansowego (bankowego), który spowodował, że problemy w systemie bankowym państw zachodnich nie posiadały tak wielkiego przełożenia, jak tam. Nie było takiego zapożyczenia sektora gospodarstw domowych. Udział kredytów hipotecznych w PKB kształtował się trzy lata temu zaledwie na poziomie 10 proc. PKB, a w niektórych obszarach zachodnich blisko 100 proc. A więc tam pojawienie się złych długów hipotecznych stanowiło kolosalne uderzenie w system finansowy. Natomiast w Polsce praktycznie nie było takiego uderzenia. Ale to też pokazuje różnicę pomiędzy Polską, a krajami zachodnimi. Tam ten kryzys powstał w sektorze finansowym, a u nas nie miał prawa powstać na tym obszarze i nie powstał. Nie było kryzysu w sektorze finansowym. I wreszcie w Polsce mieliśmy elastyczny kurs walutowy, wystąpiło silne osłabienie złotego w początkowej fazie kryzysu, co też nam pomogło.

Była jeszcze jedna przyczyna trochę niższych kosztów kryzysu, a mianowicie ekspansywna polityka fiskalna w Polsce przed jego nadejściem, choć nie w takich rozmiarach, jak na Węgrzech. Ale mieliśmy duży wzrost wydatków publicznych i obniżenie dochodów już za czasów rządu Kaczyńskiego i trendy te były potem kontynuowane za czasów obecnego rządu. Myślę tu oczywiście o zmniejszeniu składki rentowej, zmniejszeniu podatku PIT, ulgach prorodzinnych, co stanowiło w sumie około czterdziestu miliardów rocznie w warunkach roku 2010. To się stało tuż przed kryzysem i stanowiło coś w rodzaju swoistej „poduszki bezpieczeństwa”. I akurat wtedy, w tym początkowym okresie to pomogło, natomiast teraz jest problemem, bo oznacza, że mamy dużo większy, dużo większy deficyt.

Czyli grozi nam, że kryzys dosięgnie nas z opóźnieniem?

Właśnie dlatego, że uruchomiliśmy pewien mechanizm asekuracyjny, który osłabił efekt negatywny kryzysu w początkowej fazie, teraz mamy o tyle większy problem, z którym nie bardzo wiemy, jak sobie poradzić. Tamte zmiany wprowadzone przez dwa rządy miały charakter permanentny i obecnie by należało też w sposób permanentny zrobić coś, co odwróci skutki finansowe wcześniejszych działań. A więc utraciliśmy czterdzieści miliardów i teraz należałoby odzyskać te pieniądze, w taki czy inny sposób. Może niekoniecznie poprzez przywrócenie starej składki emerytalnej, czy odejście od eliminacji najwyższego progu podatkowego, ale w taki czy inny sposób chodzi o odzyskanie tych pieniędzy. Tamte reformy nie zostały sfinansowane innymi reformami. To był czysty populizm rządu PiS-u, kontynuowany przez obecny rząd. Nie wprowadzono tak zwanych reform towarzyszących. Minister Rostowski mówił nawet o tym wprost, tylko jak gdyby nie zauważył, że rząd Tuska kontynuuje pod tym względem politykę PiS-u i że to jest ta sama polityka i ciągle mamy brak tych reform towarzyszących, o których wszyscy wiemy, że powinny być.

Jak Pan ocenia rok 2010 i jaka jest Pana prognoza na rok 2011, w zakresie PKB i całej polskiej gospodarki?

Zarówno Europa Zachodnia, jak i Stany Zjednoczone, generalnie gospodarka światowa – powoli wychodzą z tego kryzysu. To dotyczy również Polski. Czyli nie mamy ani jakiegoś raptownego wychodzenia, ani też tzw. drugiego dna. Mamy powolne wychodzenie I w tym roku wygląda na to, że tempo wzrostu PKB w Polsce będzie bliskie takiemu standardowemu tempu wzrostu, to znaczy gdzieś pomiędzy 3,5 a 4 proc., przy standardowym

tempie wzrostu około 4,5. W przyszłym roku będziemy już może na poziomie 4,5 proc. A więc to już jest takie tempo normalne –nic nadzwyczajnego. Ale w okresie 2008-2010 wzrost był wolniejszy, więc powstała rezerwa wzrostu, W związku z tym nie jest wykluczone, że w latach 2012, 2013, 2014 – będziemy mieć tempo wzrostu wyższe niż 4,5 proc., może gdzieś oscylujące pomiędzy 5 a 6 proc. Jeżeli nie będzie jakiegoś nowego kryzysu w Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych, to takiego rozwoju wydarzeń bym oczekiwał – znacznej poprawy dynamiki wzrostu PKB w Polsce w tych latach.

Rynki finansowe ustabilizują się?

Pod warunkiem, że w krajach zachodnich te działania, które są podejmowane w tej chwili celem poprawy sytuacji fiskalnej, przyniosą odpowiedni skutek. To dotyczy przede wszystkim takich krajów, jak Hiszpania, Portugalia, Włochy, Wielka Brytania, Irlandia, nie mówiąc o Grecji. Ale również mamy też problem podobny (jeszcze na trochę mniejszą skalę) w Polsce. Musimy kontynuować działania, czy nawet znacznie zwiększyć działania na rzecz zmniejszania deficytu. Zakładam, że zaraz po wyborach nowy rząd (wszystko jedno, jakiego koloru, jaka będzie polityczna „kompozycja” koalicji popierającej rząd) wzmocni działania na rzecz silniejszego obniżania deficytu. I jeżeli tak będzie, to wtedy powstaną warunki makroekonomiczne do tego, żeby kontynuować proces dochodzenia do wyższych temp wzrostu.

Czy można powiedzieć, że w Polsce mamy do czynienia z gospodarką liberalną, czy jest to jakaś fuzja gospodarki wolnorynkowej z gospodarką socjalistyczną?

W każdym niemal kraju mamy do czynienia z czymś w rodzaju fuzji, systemowego kompromisu. Jest kwestia, jakie elementy są dominujące. I tu mamy pewne zróżnicowanie. Oczywiście w Europie Zachodniej elementy związane z dużą rolą państwa, szczególnie redystrybucyjną rolą państwa, są dużo silniejsze niż powiemy w Stanach Zjednoczonych, czy na dalekim wschodzie, a nawet w Chinach. W Polsce przyjęliśmy model bliższy zachodnioeuropejskiemu, niż azjatyckiemu. To ma swoje plusy – nie mamy tak dużego zróżnicowania dochodów, jak gdzie indziej, ale ma też swoje minusy – mamy niższe tempo wzrostu.

Żyjemy w czasach globalizacji, gospodarka się coraz bardziej homogenizuje, ujednolica, tymczasem wymiar polityczny, globalna struktura Państw jest nadal heterogeniczna – czy nie grozi nam, że w warunkach globalnej gospodarki i globalizacji w ogóle, gospodarka stanie się żywiołem, nad którym Państwa nie będą w stanie zapanować, a większą rolę zaczną odgrywać międzynarodowe korporacje, koncerny oraz czynniki spekulacyjne?

Tego typu poglądy funkcjonują już od dziesięcioleci i nie ma takich solidnych podstaw do sądenia, że świat zmierza w tym kierunku. Już nawet Lenin przestrzegał świat przed rolą wielkich monopolii, potem mówił o tym Joseph Schumpeter, itd. Tak więc to nie jest nowa wizja. Tymczasem teza Schumpetera sformułowana w latach dwudziestych ub. wieku o tym, że świat kapitalistyczny będzie w coraz większym stopniu dominowany przez wielkie monopole się nie sprawdziła. Dlatego, że równocześnie powstają miliony małych przedsiębiorstw, a niektóre z wielkich koncernów po prostu tracą dynamikę, a nawet się rozpadają, czy wręcz bankrutują. Taki spektakularny przykład to IBM i „Microsoft”. Przecież dwadzieścia, czy trzydzieści lat temu „Microsoft” nie istniał, a IBM dominował. A potem się to wszystko zmieniło, powstały nowe wielkie firmy komputerowe. Mamy ciągle taki wielki

„tygiel”, w którym pojawiają się miliony nowych idei, w oparciu o to powstają miliony nowych przedsiębiorstw, bardzo wiele z nich bankrutuje, ale znacząca część osiąga sukces i rozwija się szybko, dochodzi do poziomu średnich i dużych przedsiębiorstw, zagraża tym wielkim przedsiębiorstwom, niektóre z wielkich są eliminowane. Tak więc mamy coś w rodzaju wielkiej dynamiki dotyczącej skali operacji, wzrostów i spadków. Ostatnie problemy takich koncernów, jak „General Motors” w Stanach Zjednoczonych są kolejnym przykładem świadczącym o tym, że niebezpieczeństwo dominacji w gospodarce światowej wielkich przedsiębiorstw jest mocno przesadzone.